Rocznik IV. Kraków 1-go kwietnia 1912. (Półrocze I-sze) Nr. 4.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 4** korony — na **pół roku: 2** korony. — Do Niemiec na rok: **5** koron — półrocznie **2** kor. **50** hal. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya **„ŚWIATŁA“** w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Życie polityczne w Galicyi.

Ostatnie lata zaciążyły bardzo smutnemi przejściami nad naszem społeczeństwem. Zupełnie uzasadnionem każdemu, kto spokojnie i trzeźwo patrzy na życie nasze społeczne i polityczne wydać się musi powiedzenie ks. Biskupa Wałęgi na kongresie Maryańskim w Pr emyślu, że jeszcze jedne takie wybory, jak ostatnie, a zatracimy duszę ludu.

Zastanawiając się nad stosunkami naszymi, zapytać się musimy, czy istotnie to, co nazywamy życiem politycznem jest niem u nas w Galicyi? czy też miejsce życia politycznego zajęła zupełna nieświadomość spraw politycznych, samolubstwo posunięte do ostatecznych granic i zawiść partyjna? Powiedział ktoś, że gdyby w społeczeństwie nie było różnych partyj, a natomiast wszyscy na jedno się godzili, to wtedy nie byłoby w takiem społeczeństwie rozwoju i postępu. Aby należycie osądzić sprawę, zastanówmy się pokrótce, do czego doszliśmy u nas, mając tak wiele partyi i czy istotnie to, co partye polityczne w kraju robiły i robią, można nazwać postępem i rozwojem.

Smiało można twierdzić, że u nas życie polityczne sprowadziło się dzisiaj tylko do walki o mandaty poselskie. Poza takim celem zupełnie osobistym i najczęściej przenoszącym osobiste korzyści o innych celach się nie

słyszy. Wszystko cokolwiek u nas w życiu politycznem się robi, dzieje się po cichutku, jak to nazywają „za kulisami“, aby nikogo nie drażnić, ani też nikomu się nie narazić, albo aby podstępnie drugiemu dokuczyć i coś odebrać.

Wszyscy, kiedy nadchodzi czas wyborów, obiecują. Obiecuje kandydat, gdzie tylko może i komu może; obiecuje komitet, który kandydata popiera; obiecuje władza, która życzy sobie wyboru pewnego posła. Obietnic tych jest tyle, że gdyby tylko mała cząstka ich została spełniona, Galicya stałaby się rajem. Po wyborach jednak wszystko zazwyczaj jak sen znika. Ani wybrany poseł nie pokazuje się w swoim okręgu wyborczym, ani też nie spełniają się tak szybko porobione obietnice. Ma się rozumieć, przez to daje się do ręki broń niezadowolonym, albo też partyom radykalnym i nieraz dzięki takiemu lekceważeniu, okręg wyborczy najbardziej katolicki i zachowawczy zamienia się nagle przy następnych wyborach w okręg na wskróś radykalny. Tam gdzie przedtem przechodził z łatwością konserwatysta nagle z urny wychodzi poseł socyalistyczny.

Dzieje się to zaś dlatego, że u naszych przewodników wyrodziło się to przekonanie, że wyborca jest dobry tylko wtedy, kiedy ma głosować, a poza tem nie zna go się wcale.

Życie publiczne właściwie u nas zamarło. Utrzymują je jedynie prawie tylko socyaliści, gdyż ich posłowie stosunkowo najczęściej jeszcze pokazują się między wyborcami.

Drugim powodem, który niszczy u nas wszelkie polityczne dążenia i działania, jest przekupstwo i oszustwa, jakie dokonywają się przy każdym pojawie życia politycznego. Czy to wybory do parlamentu, czy do sejmu, czy nawet do rady gminnej, zawsze szerokim strumieniem płynie wódka wyborcza, tysiącami idą pieniądze, którymi kupuje się zwolenników i głosy. Czynią tak wszystkie partye bez wyjątku zarówno socyalistyczne, jak demokratyczne lub konserwatywne.

Wszyscy uprawiają na szeroką skalę oszustwa wyborcze, tak, iż po przeprowadzeniu w kraju takiej walki wyborczej, pod względem moralnym ludność wygląda tak,

jakby zaraza przeszła. Wszelkie poczucie moralności i uczciwości zanika, a natomiast szeroko rozwija się nieuczciwość i niesumienność.

Trzeci powód zaniku zupełnego życia politycznego w Galicyi leży w tem, że stronnictwa zwalczają się w sposób nieuczciwy. Niema oszczerstwa, niema dość zręcznego podstawiania nogi, którego nie użyłoby jedno stronnictwo, aby obalić i zniesławić kogoś z innego stronnictwa. Dzięki temu gazety raz wraz przynoszą wiadomości o jakichś sensacyjnych „odkryciach“ z tajników tej lub innej partyi politycznych, które zwykle właściwie ograniczają się do wywłóczenia brudów i osobistych skandali osób, a z właściwą polityką nic nie mają wspólnego!

Czwarty powód upadku tkwi w tem, że za dużo mamy w Galicyi stronnictw, jeszcze więcej prezesów ich i wydziałów, a za mało pracy owocnej i dla dobra ogólnego przeznaczonej. Zaledwie zbierze się kilku ludzi odmiennego zapatrywania, zaraz powstaje stowarzyszenie, potem, klub. a wreszcie nawet stronnictwo. Przysłowie powiada, że „co głowa, to rozum“, my w Galicyi możemy śmiało powiedzieć, że „co trzy głowy, to stronnictwo“. Rosną one, jak grzyby po deszczu, każde ogłasza szumny program i stara się na piękne swe hasła, często pożyczone od innych lub dla konkurencyi tylko rozszerzone i upiększone łapać, jak najwięcej zwolenników i wybierać od nich, jak najwięcej wkładek na najrozmaitsze fundusze. Pierwsze miejsce pod tym względem zajmują socyaliści, u których każdej chwili i na każdy niemal tydzień przywódcy gotowi są wymyślać coraz nowe fundusze, aby jak najwięcej pieniędzy zagarnąć.

Ma się rozumieć dzięki takiemu prowadzeniu życia politycznego, coraz więcej ludzi trzeźwo myślących, odwraca się z wstrętem od polityki, a każdy taki zapytywany potem, dlaczego się usuwa, powiada otwarcie: „nie będę maczał rąk w takich brudach“.

Zapytać się jednak musimy. do czego nas takie stosunki prowadzą? Odpowiedź bardzo prosta, a znajdujemy ją w naszem codziennem życiu. Zamiast, żeby nam było coraz lepiej, jest coraz gorzej. Drożyzna wydziera nam krwawo zapracowany grosz, odbiera nam często dach

nad głową, podatki zabierają to, czego drożyzna jeszcze nie zabrała, a my sami pozostajemy nędzarzami skazanymi na łaskę i niełaskę tych, których obdarzyliśmy naszem zaufaniem politycznem; długo jednak w takich stosunkach żyć nie potrafimy. Społeczeństwo musi dojść do tego, że przyjdzie chwila, kiedy powie „dość już tego!“ i kiedy wszyscy uczciwie myślący ludzie podadzą sobie ręce do wytępienia zła, które jak zmora nas gniecie. Dzisiejsze życie polityczne w Galicyi jest jednem wielkiem oszustwem popełnianem na ludności zarówno od „góry“, jak i od „dołu“. I czas najwyższy, aby stosunki gruntownie zmienić i poprawić.

Ks. Hugo Kołłątaj.

Do postaci jubileuszowych bież. roku należy też mąż nie powszedniej miary, którego całe życie jest dla nas jakoby księgą wiedzy, ks. Hugo Kołłątaj.

Światło dzienne ujrzał roku 1750. Kształcił się na uniwersytecie Krakowskim. Czując potrzebę oddania się sprawom publicznym, a wiedząc, że jako kapłan najwięcej będzie mógł zrobić, wstępuje do seminaryum, a później kształci się w Akademii w Rzymie. Jako człowiek nadzwyczaj zdolny, z łatwością przyswaja sobie nauki filozoficzne i tologiczne, poznaje gruntownie prawo kościelne i z tymi zasobami wiedzy, jako mąż uczony wraca do Ojczyzny.

Za granicą poznali się na nim, to też sława uczonego przedostała się do nas i tu mu szykowała zaszczytne stanowisko. Po śmierci Biskupa kijowskiego, który zarazem miał kanonię krakowską, ta kanonia była do objęcia i otrzymał ją ks. Hugo Kołłątaj. W czasie, gdy zajmował to stanowisko, miał zatarg z władzami duchownemi, ale i to minęło.

Osiedla się w Krakowie i tu zaczyna owocną dla kraju ojczystego pracę. Powstała wówczas w Warszawie instytucya państwowa dla spraw szkolnych, tak zwana „Komisya edukacyjna“, a tworząc wydział „Towarzystwo

do ksiąg elementarnych“ powołała ks. Kołłątaja na przewodniczącego.

Ks. Kołłątaj z całym zapałem wziął się do roboty. Reforma po reformie wychodziła z pod jego rąk, zmieniając w szkolnictwie wszystko to, co było przestarzałe, co nie odpowiadało czasowi, w którym żył i działał. Zmiana dotknęła i szkoły i nauczycieli.

Odtąd na nauczycieli poczęto brać tylko Polaków. Dotychczasowy język łaciński, jako zbytnio szkodzący językowi polskiemu usunięto na drugi plan. Trzeba tu zaznaczyć, że łacina przed nim w szkołach była prawie językiem wykładowym, nic więc dziwnego, że nasza szlachta lepiej mówiła po łacinie, jak po polsku.

Zmienił też i same szkoły, bo na miejsce dawnych wiejskich, miejskich i szlacheckich, ustanowił początkowe, powiatowe i prowincyonalne, poddając je zarządowi szkół głównych, z siedzibą w Wilnie i Krakowie.

Mając liczne nieprzyjemności z różnych stron, przerzucił się w drugim okresie swej działalności na pole polityczne.

Ale jeszcze był przez trzy lata rektorem Akademii Krakowskiej. Ta najwyższa uczelnia od pewnego czasu zaczęła się chylić ku upadkowi. Podniósł ją Kołłątaj, obsadził katedry zdolnymi profesorami, ulepszył sposoby wykładów i uporządkował stan majątkowy. Jednem słowem, że „Uniwersytet krakowski miał w nim Odnowiciela“.

W roku 1776, otrzymał referendacyę litewską (referendarz, tytuł dawnych wyższych urzędników, zdających sprawy z próśb podawanych na imię króla). Na tem polu zaczął działać jako polityk. Na sejmie czteroletnim wykazał wielką bystrość umysłu i zdrowy sąd o każdej rzeczy.

Swoje zapatrywania wyjaśnił w „Listach Anonyma do Stanisława Małachowskiego“. Pisał też wiele pomniejszych książek i broszur. Wszystkie jego prace piśmiennicze cechują wielki talent, szczerość uczucia, prostota, oraz równowaga duchowa. Chociaż trzeba przyznać, że nieraz był zbyt skrajnym w swych poglądach, jak to mówią, zbyt liberalny.

Głosił śmiało równość stanów, żądał praw dla włościan i mieszczan, określał ich wielkie stanowisko w narodzie; zwrócił uwagę na dziedziczność tronu królewskiego i kreślił plany rządzenia państwem przy pomocy sejmu.

Kiedy chciano ratować konającą Ojczyznę przy pomocy Konstytucyi Trzeciego Maja, on, można powiedzieć był jedynym człowiekiem, który na piśmie tę Konstytucyę wygotował.

Na jego pracy Korona i Litwa wiele zyskała. Podał bowiem zarys kodeksu cywilnego i projekt sądów assesorskich, uregulował podatki, uporządkował prawo o miastach.

Był to człowiek, który utworzył nawet swoje stronnictwo po napisem „Kuźnica“, jako przeciwstawienie partyi konserwatywnej. Pod tym względem dał się nieraz unosić zbyt krewkiemu temperamentowi, za co go spotykały zarzuty.

W roku 1791 został Kołłątaj mianowany podkanclerzem królewskim, pomimo protestu nawet króla. Na tę godność pchał go klub konstytucyjny.

Zaplątał się, może najniepotrzebniej, w sprawę Targowicką, ale i to mu się wybacza, bo w tem, podług siebie, widział ratunek dla ginącej Ojczyzny. Z chwilą upadku Konstytucyi Trzeciego Maja i jego gwiazda zaczęła blednąć.

Upadek Warszawy był powodem jego uwięzienia przez Austryaków w murach Josephstadtu i Ołomuńca. Osiem lat przepędził pod zamknięciem, ale i tu nie próżnował, bo napisał książkę: „O porządku fizyczno-moralnym, czyli o nauce i powinnościach człowieka“.

Wyszedłszy z więzienia, resztę swego życia spędził na Wołyniu, a później udał się do Księstwa Warszawskiego, gdzie też skończył swe życie 28 go lutego 1812 roku.

Miał, umierając, żal do społeczeństwa, które go nie mogło rozumieć i wyrzekł te słowa: „Grób stał się dla mnie pożądanym, spieszę się do tego domu wieczności, gdzie wolny od niesprawiedliwości i niewdzięczności ludzkiej — odpocznę na zawsze“. Wyrzut ten spotyka społeczeństwo zawsze od mężów, którzy za życia

bardzo wiele robili, a byli zapominani. Dopiero po śmierci ludzie ich oceniają i wynoszą na piedestał sławy.

Po procesie o zbrodnie na Jasnej Górze.

Przez cały pierwszy tydzień marca bież. roku toczyły się rozprawy przed sądem piotrkowskim o zbrodnie i przestępstwa popełnione przez szajkę zdrajców na miejscu świętem, a sercu polskiemu przedewszystkiem drogiem.

Wrogowie Kościoła katolickiego, jak sępy głodne, rzucili się na tę sposobność nie tak łatwo się nadarzającą, by zohydzić Kościół katolicki i czynić go odpowiedzialnym za grzechy niegodnych jednostek. Gazety ich przez cały tydzień z rozkoszą rozpisywały się o wszelkich szczegółach w rozprawach ujawnionych, chociażby były najbrutalniejszemi i najwstrętniejszemi. Zaiste przyznać trzeba, że obraz zepsucia, który się roztoczył przed naszemi oczyma w tym procesie piotrkowskim, jest pełen zgrozy i budzi obrzydzenie.

Wciąż sobie człowiek musi zadawać pytanie, jakimże sposobem tacy Macochowie mogli nietylko otrzymać święcenia kapłańskie, ale stać się nawet stróżami największej świętości katolików polskich? Gdyby społeczeństwo polskie żyło w normalnych warunkach, gdyby miało własny ustrój państwowy lub gdyby przynajmniej miało możność rozwoju swobodnego, gdyby Kościół katolicki, który dla nas jest kościołem narodowym, cieszył się potrzebnemi mu swobodami, a zaszłoby na Jasnej Górze to, co się stało, wówczas wrogowie nasi mieliby słuszność, wołając: W Piotrkowie na ławie oskarżonych siedział Kościół katolicki i duchowieństwo polskie.

Ale tak nie jest. Pod rządami cara, Kościół katolicki wogóle, a Kościół katolicki w Polsce, w szczególe, wiodą życie niewolnika ograbionego z praw i swobód mu przynależnych. Rząd rosyjski wie doskonale, że Kościół katolicki dla narodu polskiego stanowi niewyczerpane źródło siły moralnej; że on daje wyższość kulturalną

narodowi naszemu po nad Moskalami go gnębiącymi, od lat dziesiątek używa więc najbrutalniejszych środków, aby siłę Kościoła osłabić, a duchowieństwo polskie zdemoralizować; poniżyć je do poziomu popów prawosławnych i zrobić z niego powolne narzędzie rządu i policyi, oto cele rządu rosyjskiego.

Aby ten cel osiągnąć, rząd rosyjski nie cofał się przed żadnymi środkami. Biskupom ogranicza prawo dozorowania księży parafialnych i klasztornych i czuwania nad ich moralnością. Jeżeli Biskup mimo to spełnia swe obowiązki pasterskie, rząd uważa go za podejrzanego pod względem politycznym. Biskupom zabrania się objazdów dyecezyi, a księży szpieguje się na każdym kroku. W kościele na kazalnicy nawet widzi ksiądz zwrócony na siebie wzrok szpiega, czychającego na każde słówko, nawet w spowiednicy podsłuchują szpiegowie księdza, jakich nauk udziela przy spowiedzi.

Władzy kościelnej zaś rząd odebrał nieomal zupełnie wpływ na wychowanie księży i skrępował jej ręce w doborze młodzieńców, poświęcających się stanowi duchownemu. Wszak o przyjęciu kandydata do seminaryum lub do klasztoru rozstrzyga w gruncie rzeczy policyant. A całe wychowanie młodzienców rząd właściwie dla siebie zagarnął i trzyma je na niskim poziomie duchowym i umysłowym.

Bogu dziękować, że mimo to wszystek ogół dochowieństwa polskiego jest nieskażony i w tak trudnych warunkach okazuje się godnym swego powołania i tak dzielnia spełnia swoje obowiązki. Ale w tych warunkach nieuniknioną jest rzeczą, by tak parszywe owce, jak Macoch, i t. d. nie zakradły się do trzody, szczególnie, że przemycają je możni opiekunowie rządowi.

Macoch jest wybitnym okazem wychowania systemu rządowego. Służył rządowi, jako pisarz gminny; urząd to w Królestwie pogardzany, ale dla ludności naszej niebezpieczny, bo piastun urzędu tego, to niemal zawsze szpieg, złodziej i łapownik. Taki pisarz gminny musiał być rządowi bardzo miłym kandydatem na zakonnika katolickiego i stróża Jasnej Góry. Takimi stróżami najłatwiej gnębić majestat Kościoła katolickiego, tak mniemał rząd.

Ostatecznie Macoch i jego towarzysze we własnych osobach dowiedli, do czego są zdolni wychowańcy systemu rządowego. Nie cofają się przed niczem, dusza ich zupełnie zatruta i wyzuta, z wszelkich uczuć górnych i wszelkiego szacunku dla świętości ludzkich. Popełniają zbrodnie ohydne, tem ohydniejsze, że ich sprawcy noszą znamiona kapłanów, i że ich się dopuszczają w tych właśnie okolicznościach.

I zasiedli na ławie oskarżonych, ale nie kapłani, nie przedstawiciele Kościoła polskiego, nie synowie poczuwający się do wspólności z społeczeństwem polskiem, nie, na ławie oskarżonych zasiedli wychowańcy systemu rosyjskiego, renegaci polscy z duszą zruszczoną, a w ich osobach cały barbarzyński system rządów carskich. A sąd rosyjski musiał sądzić twory rządu rosyjskiego i wydać na te twory i rząd sam wyrok potępiający, który świat cywilizowany dawno już wydał przed nim.

Kościół katolicki z tej sprawy wychodzi nieskalany, społeczeństwo polskie bez winy, ale obydwaj z tego zdarzenia wysnuwają wniosek, że z barbarzyńskiem caryzmem należy staczać bezustanną walkę o swobodę i prawa Kościoła, aby nie zatruwał serc polskich i katolickich.

*
* *

I jeszcze jedna uwaga. Niema już prawie wątpliwości, że Macoch był szpiegiem — prowokatorem, wysłanym na Jasną Górę przez „ochranę“ rosyjską, aby tam urządził skład broni, bomb i podburzających odezw, które miały potem być wykryte i służyć za dowód przygotowanego powstania, za pozór do rozpoczęcia nowego wściekłego prześladowania polskości i Kościoła katolickiego, no i do nowych zdzierstw i rabunków.

Tymczasem ten ich najemnik odegrał na Jasnej Górze tylko rolę plugawego zbrodniarza i złodzieja. To też można sobie wystawić, w jakim kłopocie był rząd moskiewski, gdy mu przyszło rozpoczynać proces przeciwko temu swojemu najemnikowi, zwłaszcza, że w toku śledztwa zapisano w aktach całych 14 stron zeznań takich, które bez osłony ujawniały całą sprawę o wysła-

niu Macocha do klasztoru jasnogórskiego i o zadaniach, jakie tam miał spełnić.

Wyjęto tedy i zniszczono co prędzej owe 14 stron z aktów; a prokuratorowi i sędziemu śleczemu, który tak nieoględnie prowadzili śledztwo, nakazano na czas procesu zachorować.

Te i inne okoliczności ujawnione w procesie wykazały po nad wątpliwość, że Macoch byłplugawym zbrodniarzem wynajętym przez rząd rosyjski, a więc zbrodnie jego i towarzyszy nie plamią ani Kościoła katolickiego, ani narodu polskiego — ale dowiodły raz jeszcze, jak zbrodniczym jest sam rząd rosyjski, który potrafi wychować takich zbrodniarzy!

Przedwczesnemi więc były tryumfy wrogów Kościoła i Jasnej Góry. Zbrodnia częstochowska napełnia serca polskie żałobą i boleścią, lecz niezdołała wygasić w nich miłości gorącej, którą cały naród polski płonie do królującej na Jasnej Górze Królowej korony polskiej.

To zrozumiał nawet Rosyanin, prokurator Niedźwieckij, który w mowie swej oskarżającej w procesie piotrkowskim, omawiając narodowe i religijne znacznie zbrodni Macocha oświadczył — (może niezbyt zgodnie z intencyami rządu rosyjskiego) — że „czyny haniebne trzech ludzi nie mogą zachwiać wiary narodu w obraz cudowny i nie przestaną ciągnąć do niego niezliczne tłumy pobożnych“.

Jak nam żydzi szkodzą w Ameryce.

W niektórych krajach Ameryki stosunki przedstawiają się dla Polaków pod względem moralnym bardzo przygnębiająco.

Doszło w Brazylii i Argentynie do tego, że nazwa Polak oznacza to samo, co handlarz „żywym towarem“, a Polka znaczy tam tyle, co kobieta lekkich obyczajów. Wiadomo, że kraje te stanowią główne rynki zbytu „żywego towaru“, którzy dostarczają przeważnie żydzi z Królestwa i Galicyi.

Przyjeżdżajac tam, podają się za Polaków, a przywożone żydówki przedstawiają się za Polki. Żydzi później dorobiwszy się na takim „czystym“ interesie majątku zmieniają narodowość, stają się Niemcami, zostawiając na imieniu polskiem piętno, które nietylko jest dojmujące dla polskiej sławy, ale dla uczciwych robotników polskich jest niezmiernie ciężką kulą u nóg, bo naraża ich na niechęć i lekceważenie władz, u których oni zmuszeni są szukać pomocy i opieki.

Podobne stosunki panują i w innych państwach południowo-amerykańskich. W San Paolo n. p. wyraz „Polka“ długi czas oznaczał nierządnicę; miejscowe domy publiczne wypełniane były wówczas żydówkami polskiemi, które jakkolwiek ich współwyznawcy tu w naszym kraju nie zawsze przyznają się do polskości i pod każdym względem starają się wyróżniać od społeczeństwa polskiego, tam na drugiej półkuli, zmuszone do uprawiania hańbiącego zawodu, podają się za rodowite Polki. Skutek był ten, że robotnice Polki co prawda nieliczne, musiały wypierać się swej narodowości, chcąc uniknąć krzywdzących podejrzeń.

Takie są skutki przyznawania się żydów do polskiej narodowości.

Życie uliczne w Kairze.

Tocząca się obecnie wojna włosko-turecka zwróciła znowu uwagę całego świata na narody wschodnie. Turcy i Arabowie są dzisiaj przedmiotem żywego zainteresowania wszystkich społeczeństw, a opisy ich zwyczajów i kultury znajdujemy we wszystkich pismach.

Parę uwag poświęcić pragniemy dzisiaj opisowi pomieszczonemu w jednej z gazet wiedeńskich, a przedstawiającemu życie uliczne w Kairze, jednem z największych miast Egiptu. Jak wiadomo Egipt graniczy z jednej swej strony z Tripolisem i odbywa w obecnej wojnie dosyć ważną rolę, gdyż przez jego granicę przedostają się zarówno oficerowie tureccy, jak i transporty broni i amu-

nicyi do Tripolisu. Egipt jest wprawdzie prowincyą turecką, stoi jednak właściwie pod opieką Anglii, która rządzi się tak prawie, jak u siebie w domu.

Przystępując do rzeczy zauważamy, że życie uliczne w wielkiem mieście wschodniem jest zupełnie inne, niż w innych miastach. Tam właściwie wszyscy żyją na ulicach, nie w domach. Mieszkaniec lub mieszkanka miasta wschodniego załatwiają nawet domowe sprawy rodzinne częstokroć przed domem, tak że kto obserwuje życie uliczne wielkiego miasta, równocześnie poznaje i zwyczaje narodu, który w niem mieszka.

Kairo pod tym względem stanowi typowy przykład, gdyż na jego ludność liczącą około pół miliona głów, składają się prawie wszystkie narodowości wschodu. Aby je dokładnie poznać, trzeba dotrzeć, aż do wązkich uliczek odleglejszych stron miasta, gdzie Arabowie i Egipcyanie rozłożyli swe bazary w ciemnawych uliczkach. Bazary te najczęściej obwieszone są dywanami, a dachy tworzą wielkie rozpięte chusty.

Aby się jednak tam dostać, trzeba powierzyć się opiece przewodnika, który uzbrojony w tęgą pałkę pogania cichego osła używanego zamiast dorożek. Uwagę cudzoziemca przedewszystkiem zwracają kobiety. Noszą one na twarzy długie czarne zasłony sięgające im prawie do kostek. Z poza nich przechodzień dostrzedz może tylko parę ciemnych błyszczących oczu, które nieraz wyglądają, jakby należały do jakiegoś ducha.

W innej cokolwiek weselszej postaci przedstawiają się kobiety i dziewczęta, które na ulicach sprzedają kwiaty i owoce. Śpiewnym głosem wywołują po arabsku swoje towary, zachwalając je przy tem w bardzo obrazowy sposób.

I tak przekupka sprzedająca róże zachwala je, oświadczając, że „róża jej była pączkiem, użyźniona potem proroka rozwinęła się w przecudny kwiat“. Sprzedająca pomarańcze niesie zgrabnie swój towar w okrągłym koszyku na głowie i obiecuje, że pomarańcze słodkie są jak miód. Inna wreszcie zachwala migdały lub inne łakocie, czyniąc to także w formie bardzo obrazowej.

Woda! słowo to stanowi kwestyę życia wschodniego miasta. W Kairze mimo wodociągów, brak wody w mieście, to też specyalni tragarze zajmują się jej dostarczaniem. Zwią oni się „sakkas“, a dzielą się na dwie grupy.

Jedna zajmuje się dostarczaniem wody potrzebnej do kropienia ulic. Za marne wynagrodzenie kilku piastrów noszą cały dzień wodę z Nilu w ogromnych bezkształtnych workach skórzanych, które dźwigają na plecach. Ubranie ich zazwyczaj jest raczej podobne do łachmanów.

Druga grupa znowu sprzedaje po ulicach wodę do picia. Ci noszą ją także na plecach, ale w olbrzymich glinianych butlach i zwabiają do siebie przechodniów, dzwoniąc w duże miedziane kubki, służące do picia wody.

Typową osobą, którą spotyka się na każdej prawie ulicy, koło kawiarń, restauracyi, hoteli i t. d. są czyściciele butów. W różnym wieku, od małych chłopaków do zgrzybiałych starców czychają na gości, powtarzając monotonnym głosem okrzyk „boye“ co znaczy farba, przy czem wskazują na obuwie przechodniów. Czasem stają się oni nawet bardzo natrętni. To samo da się powiedzieć o poganiaczach osłów, używanych tu zamiast dorożek. Stoją oni gromadnie na rogach ulic, a gdy zauważą kogoś z przechodniów, o kim przypuszczają, że mógłby ich usług potrzebować, rzucają się nań całą gromadą pędząc swe osły przed sobą. Otaczają nieszczęśliwca i rozpoczyna się zachwalanie zalet osła ofiarowanego we wszystkich możliwych językach. Przytem poganiacze krzyczą na siebie, wymyślają sobie i t. p. tak, iż powstaje nieopisany hałas.

Tak wyglądają obrazki uliczne z miasta wschodniego. Dodać jeszcze wypada, że domy przeważnie nie mają okien zwróconych na ulicę, albo też są one zamknięte na drewniane okiennice. Za to partery domów zajęte są przez sklepy i kawiarnie lub restauracye cały dzień na oścież otwarte.

Ile czasopism drukuje się na świecie?

Każdy, kto chce posiadać dzisiaj trochę oświaty, musi czytać. Nauka sama choćby prowadzona przez kilka, czy kilkanaście lat nie wystarcza do zdobycia wiedzy, ale trzeba ciągle potem jeszcze to, czego się nauczyło, odświeżać w umyśle przez ciągłe czytanie coraz nowych pism i książek. Nie wszyscy jednak mają czas na to, aby zagłębiać się w licznych tomach książek i ci wiadomości swoje czerpią z czasopism, a więc z miesięczników, tygodników lub dzienników.

Ciekawem też będzie zapytanie, ile na świecie wychodzi czasopism peryodycznych, to jest stale wydawanych oraz, w którem państwie jest ich najwięcej. Statystyka pod tym względem zebrana, wykazuje, że na czele wszystkich państw w Europie kroczą Niemcy.

W kraju tym wychodzi przeszło 10 tysięcy czasopism. 4 tysiące czasopism jest wydawanych z zabarwieniem politycznem. Dzienników wychodzi w Niemczech 1.500, a nakład ich razem wynosi dziennie 25 milionów egzemplarzy. W roku czyni ta suma okrągło 6 miliardów numerów.

Po Niemczech na drugiem miejscu stoi Francya Wychodzi w niej 9 tysięcy czasopism, jednak tylko 500 dzienników. Za to w Paryżu wychodzą dzienniki mające po milionie i więcej egzemlarzy dziennego nakładu.

Austro-Węgry stoją na trzeciem miejscu i posiadają 5.600 czasopism. Czwarte miejsce zajmuje Anglia wydająca 4.400 czasopism. Dzienników wychodzi w Anglii 230, a niektóre również w milionowych dziennych wydaniach.

Włochy wydają 3 tysiące czasopism, wśród których jest tylko 100 dzienników o stosunkowo małej liczbie prenumeratorów.

Hiszpania również nie może poszczycić się wielkiem zamiłowaniem czytania u swych obywateli, gdyż wydaje tylko 2 tysiące czasopism w tem 300 dzienników.

Rosya wykazuje stosunkowo największy analfabetyzm, mimo, iż zarazem ostatnie dwadzieścia lat dowodzą, że chęć czytania wraz z swobodą konstytucyjną coraz bardziej się zwiększa. 100 milionów ludności rosyjskiej posiada 2 tysiące czasopism, a więc tyle co Niderlandy, mały kraik na północy Francyi. W roku 1890 było jeszcze gorzej, gdyż w Rosyi wychodziło tylko 800 czasopism. Obecnie więc liczba ich zwiększyła się trzykrotnie, a zarazem wychodzi już 200 dzienników.

Tanie bardzo, a tem samem prawie przez wszystkich czytane są gazety i czasopisma w Belgii. Procent analfabetów wynosi tylko dwa procent, czyli, że na stu ludzi tylko dwóch nie umie czytać. To też wychodzi tam 2.200 czasopism, a niektóre dzienniki mają nakład wynoszący po 200 tysięcy numerów dziennie. Jak tanie są tam dzienniki dowodzi n. p. to, że dziennik katolicki »Le patriote« mający nakład 200 tysięcy egzemplarzy kosztuje rocznie 10 franków (9 koron) i dostarczany jest trzy razy dziennie do domu.

Szwajcarya z swoimi trzy i pół miliona mieszkańcami wydaje — 1.200 czasopism w tem 100 dzienników. Dania zaś dla 3 milionów mieszkańców ma 1.450 czasopism. W Szwecyi wychodzi 1000 czasopism, w Norwegii i Rumunii po 600, w Turcyi 300, w Grecyi 150, zaś w Bułgaryi, Serbii, Portugalii i Luksemburgu po mniej, niż 100.

Razem licząc Europa posiada około 50 tysięcy czasopism. Prasa stanowi w niej więc potęgę pierwszorzędnej wagi.

Jeszcze bardziej jednak uwydatnia się wpływ i znaczenie prasy w Ameryce. Stany Zjednoczone stoją na pierwszem miejscu wśród państw całego świata co do ilości wydawanych czasopism, gdyż posiadają ich około 22 tysiące. Dzienników wychodzi w Stanach Zjednoczonych 2,500. Jak wielki jest zbyt na pisma w Ameryce dowodzą inne jeszcze cyfry. Prasa codzienna Stanów Zjednoczonych zużywa rocznie papieru za 130 milionów koron, dochody brutto wynoszą rocznie około miliarda koron, anonse przynoszą same 500 milionów koron, zaś prenumerata blisko 450 milionów koron. Inne kraje amerykańskie przedsta-

wiają bardzo skromne cyfry. Kanada ma 1.200 czasopism w tem 100 dzienników, Mexyk, Brazylia i Chile po 300 czasopism, Venezuela 170, Ecquador 40, Argentyna 750.

W Azyi na czele kroczą Japończycy. Podczas gdy w Chinach wypada zaledwie jedno czasopismo na dwa miliony mieszkańców, to jest razem 200 czasopism, wydaje Japonia ich aż 2 tysiące, a niektóre dzienniki mają po 400 tysięcy numerów dziennego nakładu. Indye wydają 1.890 czasopism, Australia około tysiąc.

W Afryce, w Egipcie, Algierze i południowych krajach wychodzi około 300 czasopism, w Abisynii, Maroku, Kongo, Ugandzie i innych na pół dzikich krajach nie ma ich wcale.

Najcharakterystyczniejsze jest, że na całej kuli ziemskiej w stosunku do ilości mieszkańców najwięcej czasopism posiada Islandya... 80 tysięcy mieszkańców tej wyspy ma aż 30 czasopism.

Z przeglądu tego możemy nabrać przekonania, że prasa, jeżeli chce, naprawdę może dziś obalać władców i kierować opinią publiczną całej kuli ziemskiej.

Rozmaitości.

Obchód narodowy 50-cio lecia powstania polskiego z roku 1863. W roku 1913 przypada pięćdziesiąta rocznica ostatniej walki naszego narodu o niepodległość. Lwów dał początek do godnego uczczenia tego jubileuszu bohaterstwa i miłości Ojczyzny, a prace przygotowawcze już się rozpoczęły.

Prezydyum Komitetu uroczystego obchodu tej rocznicy uchwaliło, że prócz obchodu we Lwowie winny się też odbyć obchody we wszystkich miastach kraju, a w tym celu postanowiono się odnieść do wybitnych osobistości na prowincyi o zawiązanie komitetów miejscowych, na których pierwsze posiedzenie przybędzie delegat Komitetu lwowskiego.

Wystawa pamiątek z roku 1863 odbędzie się w roku przyszłym we Lwowie, a urządzeniem jej zajmują się z ramienia Komitetu obchodowego dr. Rutowski i dr. Czołowski.

Wystawa będzie miała dwa działy: pierwszy obejmie wszelkie pamiątki, dokumenty i t. p. tyczące się powstania z roku 1863, przyczem chodzić też będzie o zebranie około 8 tysięcy fotografij uczestników powstania; drugi dział tej wystawy będzie obejmował dzieła sztuki, które mają za przedmiot wypadki

z roku 1863, a które są bardzo liczne i niejednokrotnie należą do największych arcydzieł sztuki (n. p. rysunki Grottgera).

Kontrakt stapińszczyków ze stańczykami. Przypierani przez ludowców niezawisłych, mają stapińszczycy wkrótce opublikować tekst układu zawartego w roku 1907 z konserwatystami na dowód, że układ obejmował tylko czas wyborczy.

Lecz sojusz stapińszczyków z konserwatystami i rządem opiera się nie na jednym dokumencie. Jest podobno więcej podpisanych zobowiązań, które nigdy nie ujrzą zapewne światła dziennego.

Szkółka polska w Londynie. Polacy londyńscy obchodzili niedawno w lokalu przy ulicy Oid Ford, wynajętym przez panią Pace, Polkę, zamężną za Anglikiem, na szkółkę i czytelnię polską, jubileusz dziesięciolecia założenia pierwszej szkółki dla dzieci polskich w Londynie.

Szkółka ta jest tam prawie jedyną polską szkółką, gdyż dopiero od zeszłego roku i w innych bardzo oddalonych od Old Fordu dzielnicach, raz, lub dwa razy na tydzień, odbywają się lekcye języka polskiego i religii.

Marzeniem pani Pace jest uzyskać stały i własny lokal na szkółkę polską. Tymczasem brak jeszcze funduszu, koniecznie potrzebnego dla zaczęcia budowy. Szkółka ta przeciętnie 50-ciu dzieciom daje możność uczenia się po polsku i niezapominania swego języka. A oprócz tego ciągłe stykanie się z sobą dzieci, jest jakby ogniwem, łączącem szkołę z biedną i porozrzucaną po wszystkich dzielnicach Londynu polską ludnością i daje możność pani Pace i jej współpracownikom przychodzenia z pomocą potrzebującym wsparcia lub opieki.

Godnem naśladowania jest zarządzenie węgierskiego ministra oświaty hr. Zichy, wystosowane do wszystkich inspektorów krajowych na Węgrzech, w którem poleca, ażeby począwszy od tego roku we wszystkich szkołach ludowych jeden dzień poświęcony był wyłącznie pouczaniu młodzieży szkolnej o szkodliwych skutkach alkoholizmu. Dzień ten wyznaczy inspektor krajowy. Za tym przykładem mógłby także pójść i nasz wiceprezydent Rady szkolnej krajowej p. Dembowski.

Prawa kobiet w Norwegii. Parlament norweski przyjął projekt ustawy przyznającej kobietom możność uzyskania urzędów państwowych, z wyjątkiem stanowiska ministrów, oraz urzędów duchownych, konsularnych i wojskowych.

Kosztowny zbiór marek. Węgierski handel markami pocztowemi Bela Szekula zakupił od peszteńskiego budowniczego R. Holtischera jeden z największych i najkosztowniejszych zbiorów marek, jakie istnieją na świecie. Za zbiór ten miał zapłacić Szekula — tak przynajmniej donoszą dzienniki peszteńskie — olbrzymią sumę 714 tysięcy koron. Zdaniem znawców, zbiór Holtischera zawiera marki rzadko spotykane nawet w zbiorach naj-

bogatszych. Sam zbiór marek hiszpańskich ma być wart 145 tysięcy koron. Są też w zbiorze sprzedanym, obejmującym 17 grubych tomów, marki oceniane każda na kilka tysięcy koron.

Klub samobójców w Petersburgu. Dzienniki rosyjskie przynoszą wiadomość o wykryciu w Petersburgu klubu czyli Stowarzyszenia samobójców, liczącego bardzo wielu członków. Rada tego klubu odbywa co pewien czas posiedzenia.

Na każdem takiem posiedzeniu członkowie rady ciągną losy na dziesięć ofiar samobójstwa z pośród członków. Wylosowani obowiązani są w określonym czasie dokonać żywota. Posiedzenia tego śmiercionośnego trybynału odbywają się za każdym razem gdzieindziej. Członkowie rady samobójczej nie są znani innym członkom klubu.

Co pewien czas odbywają się ogólne zebrania, na których odczytywane są wykłady o potrzebie zbawienia ludzkości od cierpień przez samobójstwa Agitatorami samobójstwa są mowcy płomienni, elektryzujący słuchaczów. Liga zwolenników samobójstwa zakłada podobno oddziały w Moskwie, Charkowie, Odessie, Kijowie i do wszystkich miast, jak również do Warszawy, wysłała swoich agitatorów.

Dwa zapisy. W Almaraz (w Hiszpanii) jakiś bogaty mason zapisał testamentem 125 tysięcy pesetas na założenie szkoły bezreligijnej. Za to pani, niechcąca być wymieniona, ofiarowała natychmiast 200 tysięcy pesetas na szkołę katolicką na tem samem miejscu.

Restauracya bez usługi. Wszystkie stare bajki zaczynają się urzeczywistniać dzięki wynalazkom nowoczesnym. W latach dziecięcych wierzyliśmy, że za dotknięciem czarodziejskiej pałeczki nakryje się stoliczek i poda nam różne przysmaki.

Pewien restaurator paryski do obsługi wezwał jedynie elektryczność. Nie ma w jego lokalu ani jednego kelnera — usługują duchy niewidzialne. Pod lampką, osłoniętą różowym papierem, na każdym stoliku stoi malutki telefon; przy jego pomocy gość zamawia w kuchni, co chce jeść i pić.

W parę minut potem stolik rozszczepia się w środku, a z dołu na tacy wynurzają się zamówione potrawy i napoje. Taca ustawia się sama na stole, który natychmiast zsuwa się znowu. Zabieranie talerzy, widelcy i noży niepotrzebnych odbywa się w ten sam sposób. Rachunek przychodzi także automatycznie z dołu i gość kładzie pieniądze i otrzymuje resztę przy pomocy elektryczności, a napitków nie potrzebuje płacić żadnych.

Ulice Paryża obsadzone są drzewami których liczba wynosi 87 tysięcy sztuk — prócz parków. Pomiędzy wszystkiemi drzewami rośnie tylko jeden jedyny dąb, a natomiast ocieniają ulice drzewa prawie nieznane w Europie. Obok platneanów, kasztanów, akacyi, lip i klonów, wznoszą się japońskie Patownias, indyjskie

sofory, amerykańskie orzechy. Utrzymanie plantacyj kosztuje Paryż 350 tysięcy franków rocznie.

Biblijna odpowiedź. W pewnej parafii niemieckiej w kościele zaprowadzono oświetlenie elektryczne, które po pewnym czasie zaczęło szwankować. Prezes dozoru kościelnego zwrócił się do firmy, która urządziła oświetlenie z żądaniem przesłania montera, ale ten jakoś nie kwapił się z przyjazdem — wreszcie wiceprezes, zirytowany, zatelegrafował we wyrazach dość ostrych i niebawem otrzymał również odpowiedź telegraficzną tej treści: „Biblia rozdział 20, wiersz 5“.

Nie było innej rady, tylko pójść za tą wskazówką i prezes, otworzywszy wskazane miejsce, przeczytał: „A oto zjawi się we wspaniałości i cierpieniu, a płacz w radość zmienione zostaną. Miejcie przeto wasze lampy w pogotowiu, albowiem jest on już w drodze“. I rzeczywiście monter niebawem nadjechał i doprowadził wszystko do porządku.

Samobójstwo z powodu kandydatury Roosevelta. Bogaty kupiec William Volmilya Beging popełnił w Nowym Jorku samobójstwo. W pozostawionym liście samobójca twierdzi, że targnął się na swe życie z tej przyczyny, ponieważ Roosevelt zyskuje coraz więcej zwolenników, popierających kandydaturę jego na stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych, co dla kupiectwa może przynieść bardzo wielkie szkody.

Zaćmienie słońca w Paryżu. Pisma francuskie zajmują się obszernie wypadkiem, jaki czeka Paryż w dniu 17-go kwietnia bieżącego roku o godzinie 12 minut 10; całkowite zaćmienie słońca, zjawisko w Paryżu po raz pierwszy po 120 latach. W dniu 17-go kwietnia będzie widocznem to zaćmienie jako częściowe w krajach południowej Europy.

Wygrany los w trumnie. Z Gracu donoszą, że notaryusz jednego z sąsiednich miasteczek dr. Schmeterling, trzymając do chrztu pierworodnego syna włościanina Hellmanna, podarował mu los turecki.

Przed kilku dniami dr. Schmeterling, przeglądając ostatnią listę ciągnień, dostrzegł, iż na los, który przed 25 laty darował swemu chrześnikowi, padła wygrana kwocie 50 tysięcy franków. Ucieszony doniósł o tem Hellmannowi i prosił, by tenże nadesłał mu los, a on już zajmie się podjęciem wygranej.

W domu Hellmanna, po nadejściu listu od notaryusza, nastał sądny dzień. Rozpoczęto poszukiwania losu, lecz bez skutku; przepadł jak kamień w wodzie. Przeszukano wszystkie skrytki, dom cały, stajnie i stodołę, lecz napróno.

Po trzech dniach przypomniała sobie Hellmannowa, gdzie przed 15-tu laty schowała los. Oto włożyła go do starej książki do nabożeństwa, którą następnie dano do trumny zmarłej przed 10-ciu laty babce(Obecnie czyni Hellmann w starostwie starania o pozwolenie na ekshumacyę zwłok babki).

Tureccy jeńcy we Włoszech. Francuskie czasopismo „Opinion“ opisuje pobyt jeńców tureckich na dwu wyspach sycylijskich Ustika i Favlgnana. Ta ostatnia służy zwykle za więzienie zbrodniarzom. Po wybuchu wojny trypolitańskiej ustąpili oni miejsca tureckim jeńcom, ku wielkiemu żalowi krajowców, albowiem nie mają oni żadnego zysku z Arabów i Turków, poprzestających na strawie, udzielanej im przez rząd włoski. Nie jest ona obfitą, ani smakowitą. Składa się tylko z zupy. Ale to jeńcom wystarcza, nie skarżą się, nie dokupują pożywienia.

W chwili obecnej jest ogółem 170 jeńców, lecz ma niebawem przybyć nowy transport, złożony z 200 głów. Mieszkają w sześciu kamiennych domach, pokrytych słomą, a są tak potulni, iż dozorcy zaniechali noszenia broni. Jeńcy spełniają wszelkie narzucone im posługi: dźwigają wodę, zamiatają ulice i t. p. Są to przeważnie ludzie młodzi, od lat 15-tu do 30-tu, jest wśród nich paru tylko starych, nie nadających się do żadnej roboty.

Jeńcy na wyspie Ustika więzieni są w domach prywatnych pod osłoną straży i strzeżeni przez bersaglierów, którzy obchodzą się z nimi nielitościwie. Jeńcy stłoczeni są po 10-tu w małych izdebkach, w razie choroby umieszczani w lazaretach pozbawionych wszelkich urządzeń zdrowotnych. Włosi od czasów najdawniejszych nie słynęli z litości dla rozbrojonego przeciwnika.

Największym dworcem na świecie ma być co dopiero ukończony dworzec kolejowy w Lipsku. Wybudowano go kosztem 5 milionów marek. Z ruchu, jaki tam panuje, można mieć jakie takie wyobrażenie, jeżeli się zważy, że przybywa tam codziennie 300 tysięcy, a więc przeszło ćwierć miliona paczek. Same wagony pocztowe, które przywożą i odwożą codziennie olbrzymią ilość paczek, stworzyłyby pociąg o długości pięciu kilometrów.

Szkoła dla księżniczek. W Bangkoku (w Syamie) istnieje szkoła, której uczennicami są wyłącznie księżniczki syamskie rodu królewskiego. Oprócz czytania. pisania, muzyki, uczą się wszystkich zajęć domowych, a więc szyć, prać, gotować, sprzątać i t. p.

Każda z księżniczek kolejno do stołu nakrywa, zdobi go kwiatami, układa jadłospis. W obrębie szkoły niema ani jednego mężczyzny, albowiem wedle syamskiego obyczaju, kobietom nie wolno widywać żadnych obcych mężczyzn. Co piątku księżniczki odsyłane są do domów pod eskortą zaufanych służących. Kurs trwa pół roku.

Spis ludności we Włoszech. Włoskie ministerstwo rolnictwa, przemysłu i handlu ogłasza pierwsze tymczasowe wyniki spisu ludności z dnia 10 stycznia bież. rok. Według niego ludność Królestwa włoskiego wynosi 34,686.653 osób, do czego doliczyć należy jeszcze 1,150.236 Włochów, nie mieszkających stale w kraju. Ogółem Włochy liczą zatem 35,959.077 mieszkańców; w porównaniu z ostatnim spisem ludności w roku 1901 ludność Włoch wzrosła o 2,211.400 czyli o 6·84 procent.

CZĘŚĆ POWIEŚCIOWA i NAUKOWA.

NA ZMARTWYCHWSTANIE.

Z kościelnych dzwonnic — płyną dzwonów echa,
Ku niebu modlitw wzbija się błaganie,
Świat się w radości i słońcu uśmiecha.
Na Zmartwychwstanie.

W świeżuchną ziemia stroi się sukienkę,
Różową łuną mieni się świtanie,
Skowronki dzwonią wiośnianą piosenkę
Na Zmartwychwstanie.

I w duszy ludzkiej coś jakby się budzi;
Uśpione struny nowa pieśń potrąca —
I tłum się modli ukorzonych ludzi
O trochę słońca.

O trochę słońca, co mroki rozprasza,
O silną wolę i z błędów powstanie
Błagają ludzie — błaga ziemia nasza
Na Zmartwychwstanie.

Posłannictwo Polski*).

PANI NARODÓW!

«Stałaś się osamotniona jako wdowa,
ty Pani narodów» — mówi prorok.

Nie tylko osamotnioną, jako wdowa, jest dzisiaj Polska, ale opuszczoną przez wszystkich, obdartą przez sąsia-

*) Przemówienie w Czytelni króla Sobieskiego T. S. L w Wiedniu, wygłoszone przez ks. Jul. Łukaszkiewicza, honorowego kan. Bazyliki loretańskiej.

dów i fałszywych przyjaciół, podeptaną przez silniejszych, wzgardzoną przez Europę, wyszydzoną przez świat cały, a wyzyskiwaną przez wszystkich.

Czy mamy rozpaczać? czy zalewać się łzami smutku? — lub dać za wygranę? popełnić samobójstwo narodowe i rozpłynąć się wśród ludów silniejsszych i zwycięskich?

Ani jedno, ani drugie!

Najpierw powinniśmy pamiętać o tem, że Bóg dał Polakom posłannictwo dziejowe. Polska przoduje w Słowiańszczyźnie, a przez Słowiańszczyznę jest panią narodów.

Nie wolno nam rezygnować z tej szczytnej misyi, i spełnić musimy wolę Opatrzności. Im prędzej to uczynimy, tem lepiej dla narodu, dla Słowiańszczyzny, dla ludzkości całej.

Dalej nie mamy powodu do płaczu dlatego, że ojcowie nasi byli krótkowidzami i na chwilę zapomnieli o misyi otrzymanej, że sąsiedzi nasi byli źli, chytrzy i przewrotni, a Europa niewdzięczną.

Jeżeli przed 150 laty nie chcieliśmy widzieć podstępów naszych sąsiadów, pomimo, że wieszcze narodu upominali nas i przestrzegali, to dzisiaj wiemy chyba doskonale o tem, do czego dążą otwarcie i skrycie władze zaborcze, i nie powinniśmy dać się wywieść w pole pięknemi obietnicami i słówkami nikomu.

Prusy wyrosły z łaski Polski. Austro-Węgry uwolnił król Sobieski od ohydnego jarzma tureckiego. Rosya kilkakrotnie pobita leżała u stóp Polski, a carowie jej w kajdanach niewolników pędzeni byli do stolicy nadwiślańskiej przed oblicze polskiego króla.

Nie chcieliśmy ujarzmiać Prus, widzieć Austryę chrześcijańską w niewoli tureckiej, ani rzucić jarzma niewoli na Rosyę, choć mogliśmy to kilkakrotnie uczynić. Po sąsiedzku, w myśl posłannictwa Bożego, pozwoliliśmy tym trzem państwom żyć i leczyć swe rany, nie chcąc korzystać z ich chwilowej słabości.

Tymczasem, jak się nam odwdzięczyły te trzy mocarstwa sąsiednie, istniejące tylko z łaski Polaków? — wiemy o tem doskonale.

Nie płaczmy także dlatego, że Europa była wobec nas niewdzięczną. Żywiliśmy ją swojem zbożem i bronili przed najazdem Tatarów, Turków i Moskali. Złoto polskie strumieniami płynęło do Niemiec, do Włoch, do Rzymu; oprócz legatów mieli Papieże w Polsce stałych »kolektorów świętopietrza«, którzy uzbierane pieniądze wysyłali do Rzymu. Kupcy włoscy, niemieccy, żydowscy ogromnych dorabiali się u nas majątków.

Polska przedmurzem i żywicielem była Europy i strażniczką kresową zachodniej kultury, Polska Wszechnica w Krakowie ściągała tysiące młodzieży z rozmaitych krajów, wydała wielkich uczonych, jak Kopernik, i wielu świętych, jak Jan Kanty.

Polska była Panią narodów.

A jak z jednej strony broniliśmy Europy przed zalewem barbarzyństwa azyatyckiego, tak z drugiej strony broniliśmy Słowiańszczyznę przed powodzią niemiecko-krzyżacką, przelewając hojnie krew w licznych utarczkach, bitwach i wojnach, aż zwycięstwo grunwaldzkie kres położyło najazdom germańskim.

Polska była Panią Słowiańszczyzny.

Pracowaliśmy dla Słowiańszczyzny i dla Europy szczerze, uczciwie, ze zrozumieniem naszego posłannictwa i poświęceniem bez granic. Korzystali z naszej pracy wszyscy, wyzyskiwali nas chytrze, jak n. p pod Wiedniem, okazali się nam niewdzięcznymi sąsiedzi, a dziś uciskają nas i szydzą w dodatku z nieszczęśliwych...

Ludzie to — czy szakale?!

Był czas, żeśmy apelowali do Europy, żądając sprawiedliwości i pomocy — ale nadaremnie. Nauczyliśmy się zbyt późno, że na własne tylko liczyć możemy siły i na Boga. My i Bóg!

Jeżeli chcemy płakać, to płaczmy, ale nad winami własnemi.

Stanąwszy u szczytu chwały i powodzenia za Sobieskiego, sprzeniewierzylismy się poruczonej nam przez Boga misyi, nie chcieliśmy pracować dalej, utonęliśmy we wygodach, dostatkach i rozpuście saskiej, więc straciliśmy państwo polskie. Dziś nie otrząśliśmy się jeszcze zupełnie ze

saskiej choroby, nie poprawili należycie, nie wrócili do posłannictwa dziejowego — więc tracimy narodowość polską.

Zawróćmy na właściwą drogę!

Bóg uczynił Polskę »Panią narodów« i włożył w ręce jej królewskie berło przewodnictwa w Słowiańszczyźnie. »Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie» — potwierdza Z. Krasiński.

Wśród plemion słowiańskich mieliśmy położenie centralne, kraj mlekiem i miodem płynący. Od Karpat oddech miał on na północ ku jednemu morzu i na południe ku morzu drugiemu. Miała więc Polska przeznaczenie wywierać wpływ nietylko na całą Słowiańszczyznę wokoło, ale nawet na losy świata całego, (jak to dziś czyni Rosya, uzurpując sobie posłannictwo dane Polsce). Język polski jest najpiękniejszym, najwyżej rozwiniętym i wykształconym z pośród języków słowiańskich, a w zgodzie z owem centralnem położeniem geograficznem.

Jak wywiązała się Polska ze swego posłannictwa dziejowego?

Zasłoniła piersią swoją potop germański, który od południa i północy zalał Słowian nad Dunajem i nad Łabą. Kilka wieków trwały dziejowe Polaków zapasy, aż Grunwald kres im położył: oswobodził Słowiańszczyznę od najazdu Niemców.

Połączywszy się z Litwą, Unią Lubelską 1569, uznali Polacy Ruś jako równorzędnego brata Słowianina — tylko przez wzgląd na swoją misyę wśród Słowian. Część Rusi była podbitą przez Litwę, część przez Polskę. Mogliśmy Rusinów traktować jako naród zwyciężony, jak dziś n. p. traktują Rosyanie Polaków. Ale myśmy tego nie uczynili, myśmy wciągnęli biednych, słabych, niewykształconych Rusinów do trójprzymierza, myśmy powiedzieli:

W imię Ojca i Syna i Ducha świętego. — To nasza modliwa, Jako jeden jest Bóg, — Tak jedną jest Polska, Ruś i Litwa.

A potem zawartą została Unia Brzeska między Kościołem łacińskiego obrządku i cerkwią obrządku greckiego w myśl posłannictwa wśród Słowian. Wolność jedna-

kowoż miały wszystkie wyznania w Polsce, i nikt nie był prześladowanym za swą religię.

A więc godnie, — choć może bezwiednie spełniliśmy posłannictwo nasze wśród Słowiańszczyzny i w świecie. I jak długo je spełnialiśmy, tak długo byliśmy wielkimi i niezależnymi.

Ciągłe wojny z Niemcami i Krzyżakami, z Tatarami i Turkami, ze Szwedami i z Moskalami wyrobiły u Polaków świadomość narodową i świadomość posłannictwa w Słowiańszczyźnie. Ta świadomość choć nie zawsze występowała jaskrawie lub sformułowaną była należycie, a kierowana celowo, — tkwiła zawsze w duszy Polaków, i ona to ocaliła naród polski, gdy prysło w strzępy polskie państwo. Ona to daje nam niespożytą siłę życiową, do przetrzymania wszelakich ucisków i prześladowań; ona wskrzesza przed oczami naszemi świetne tradycye przeszłości, ona mówi nam zawsze o wielkich ideałach na przyszłość; — ona chroni nas od rozpaczy, od upadku, od zniechęcenia z powodu chwilowych niepowodzeń i niewiary we własne siły; — ona ochroni od spodlenia, porzucenia sztandaru narodowego i wyrodowienia na obczyźnie.

A więc nie smucić się nam, nie płakać i nie rozpaczać, ale myśleć nad tem, jak w dzisiejszem położeniu i otoczeniu pracować dla misyi powierzonej narodowi naszemu przez Boga; jak leczyć naszą niemoc wiekową, spowodowaną saską hulacznością; jak uzdrowić coraz to nowe zadawane nam rany; jak zwyciężać rzucane pod nogi nasze przeszkody tak obcych, jak i przez swoich, usłużników kapitałów wrogich, krótkowidzów dotkniętych obłędem samolubstwa, jak wreszcie pracując dla dobra polskiego narodu, pracować równocześnie dla całej Słowiańszczyzny.

Gdyśmy zdobyli się na odwagę i przyznali do swych win i błędów; — gdyśmy zdobyli się nawet na skruchę i uderzyli się kornie w pierś, — zdobądźmyż się jeszcze na siłę woli, aby naprawdę poprawić się ze swych błędów i rozpocząć fundamentalną pracę narodową.

Nie sztuka jest uczone pisać historye o przyczynach naszego upadku; nie sztuka wyliczać winy przeszłości

i winy narodowe, które dziś popełniamy, — ale sztuka win tych nie popełniać! Sztuka zerwać przywileje stanowe, których z uporem pilnujemy; sztuka zrzucić pychę ze serca i zniżyć się do mieszczan i ludu, choćby z ofiarą czasu i pieniędzy; — sztuka zerwać z egoistycznemi interesami samolubnymi, szkodliwemi narodowi; — sztuka stłumić w sobie osobistą niechęć i nienawiść, zazdrość i mściwość wobec rodaków; — sztuka otworzyć sakiewkę i dać grosz dla poparcia »Sprawy» czyto narodowej, czyto oświatowej, ekonomicznej lub społecznej; — sztuka zamnkąć się w swoim domu, i tu w czterech ścianach, chociaż otoczeni jesteśmy na obczyźnie morzem niemieckiem wokoło, lub ruskiem na wschodzie, bronić polskiego języka, polskich tradycyj i posłannicwa, które Bóg dał Polakom, wytrwale i tak długo, aż wypracujemy sobie przyszłość słoneczną.

Nie zapominajmy nigdy o tem, że Bóg uczynił Polskę Panią narodów i Królową Słowiańszczyzny. Chociaż dziś w niewoli jesteśmy, chociaż na pielgrzymstwie i tułaczce, Bóg nie odebrał nam tej misyi wśród Słowian i posłannictwa światowego przez Słowiańszczyznę. Przez Polaków i przez Słowian przyjdzie królestwo Boże na ziemię, o którem mówi Ewangelia i o które modli się codziennie chrześcijaństwo, mówiąc »Ojcze nasz«.

Jak długo istnieć będzie naród polski, tak długo przewodzić będzie i królować narodom słowiańskim w królestwie myśli i ducha, a duch silniejszym jest jak ciało, silniejszy jak materya, silniejszy jak zewnętrzna potęga państwowa.

Pomimo, że trzy jarzma gniotą dziś Polskę, pomimo, że czwarte jarzmo domowe żydowskiego nacyonalizmu osłabia nas materyalnie, nie upadamy na duchu, ale dziś nawet pracą ducha i serca filozofów i poetów, kaznodziei i historyków, wieszczów i myślicieli wybiliśmy się na czoło, przodujemy narodom słowiańskim i jesteśmy koroną chwały słowiańskiego świata.

Polscy pracownicy najszczytniejsze głoszą ideały, najszlachetniejsze głoszą zasady, najgórniejsze wypowiadają myśli. Naszych wieszczów cechuje wspaniała podniosłość natchnień, przepastna głębia uczucia szczerość prawdy, nie-

pokalana czystość zamiarów i celów, bezinteresowna szlachetność i ofiarność bezgraniczna.

Misyonarski głos polski, niby głos Archanioła rozbrzmiewa nietylko nad Wisłą, on płynie dalej do słowiańskiej braci, budzi ich do świadomości narodowej, do życia, krzepi, wzmacnia, zachęca i kieruje do przeznaczonej nam światowej pracy. Ideały polskie świecą jasno, jak pochodnie, wskazując Słowiańszczyźnie własne drogi, własne poglądy na świat, które prowadzą ją coraz wyżej i wyżej ku gwiazdom, ku niebu.

Słowiańszczyzna, wiedziona ideałami Polaków, da światu braterstwo ludów, — da miłość wzajemną i rzetelną uczciwość, zalecaną tak gorąco przez św. Pawła, — ona urzeczywistni nareszcie myśl Chrystusową na świecie i wykona rozkaz, którego zachód nie posłuchał, wykrzywił, spaczył i zaciemnił na długie lata — Polska i Słowiańszczyzna zbudują ewangeliczne królestwo Boże na ziemi.

Służąc narodowym ideałom, służymy i Polsce i Słowiańszczyźnie; — pracując dla Słowiańszczyzny, pracujemy dla ludzkości całej.

Bóg dopuścił niewolę na wszystkie narody słowiańskie, aby przygotować je do światowej misyi urzeczywistnienia królestwa Bożego na ziemi. Gorycz niewoli uczy naród prawdy, poczucia sprawiedliwości, miłości i oczyszcza go z wad, niby ogień złoto.

Upadło państwo wielkomorawskie przez niezgodę wielmożów; wielkoserbskie, bułgarskie, kroackie, czeskie i długo jęczały lub jęczą w niewoli. Rosya znosiła przez dwa wieki niewolę tatarsko-mongolską. Wyszkolona uciskiem, skonsolidowała się materyalnie, ale nie zrozumiała myśli Bożej wobec Słowiańszczyzny. Ujarzmiła Polskę, ubezwładnioną saską rozpustą, i dziś tępi Polaków i Rusinów, kłamiąc światu, że przyjęła na siebie posłannictwo przodowania Słowiańszczyźnie.

(Dokończenie nastąpi).

Legenda wielkanocna.

I wyszła Marya, Matka Jezusowa, z dzbankiem na głowie do studni, przy której schodziły się niewiasty jerozolimskie.

Była zaś smutna, bo Jezus był w grobie przed wejściem gwiazdy sabbatu złożony. A przez dzień sabbatu wiatr naniósł nad miasto jakby łez, bo całe powietrze perliło się jakimś łzawym smutkiem, co przypominał świtanie dżdżystego słońca. Żaden z uczniów Jezusa nie odwiedzał domu Maryi, bojąc się prześladowania rady starszych i rozbestwionego tłumu. Trwała tedy Marya w niepocieszeniu przez dzień sabbatu, otoczona pustką; a nawet wiatr, gdy wpadł z prochem ulicy i żarem słońca, mówił Jej szumem: »Niema Go już, niema«.

Aż oto usnęła około północy i miała sen, jak słodki wiatr, przy którym kwiat się rozwija. Śniło się Jej, że wiedzie Jezusa za rękę, jak był małem chłopięciem. Było to tak, jak w ów dzień, gdy z Józefem opuszczała Egipt. Marya usiadła pod palmą, by nieco odpocząć, a Jezus odszedł szukać wody dla zmęczonych rodziców. A że nie miał przy sobie dzbanka, ni żadnej skorupki, którąby czerpał, uchylił nieco sukienki i wszedłszy między głowy róż, prosił je, by mu odstąpiły srebra swej rosy. A róże jęły kłonić ku Niemu swe główki i kołysząc niemi, rzucały Mu na sukienkę perły i opale z głębi swych jedwabnych zanadrzy. I cieszył się Jezus i był im wdzięczny; ale, że miał suknię długą, więc pereł wydało Mu się jeszcze mało. Brnął tedy głębiej w różany deszcz kwiatów i sam był jako jedna z lilij z niwy przedwiecznej, między śmiertelnych rzucona... A im dalej szedł, kwiaty miał piękniejsze i opale większe, roztęczone... i brzemię miał lśniące, jak gwiazda betlejemskiej kołyski.

I stało się, że Marya zbudziła się z zamyślenia, a nie wiedząc, gdzieby był Jej Syn, pytała Józefa: »Gdzie jest Jezus?« Ale i ten się zdumiał i nie umiał odpowiedzieć. Pytała przeto róż, co stały koło Niej: »Gdzie jest Jezus?« Róże jej wtedy odrzekły: »Był tu, był tu, ale poszedł«. Zasmuciła się więc Marya i łza zapaliła się w Jej oku, wielka,

jak brylant. I podleciał jasny jakiś motyl, wziął łzę na skrzydła i poszedł szukać Jezusa. A znalazłszy Go, rzucił łzę Maryi do złotego brzemienia.

I ta jedna łza tak zaciężyła dziecięciu, że usunął mu się z ręki rąbek sukni i cały z trudem uzbierany skarb rozsypał się po łące, jak tęczowy dywan Jedna mu tylko perła, jedna łza Maryi została.

A przecież ciężar się nie zmiejszył, ale więcej bolał. Poznał tedy Jezus łzę swej matki i podniósłszy oczy do słońca, skarżył się głosem, do grania fletni pastuszej podobnym: »Matko, co łzami wichry rozczulasz, czy nie wiesz, że brzemię krzyża nie jest mi lekkie? a łez twych girlanda cięższa od cierni korony!«...

A gdy to mówił, smutek ciężki rzucił się do serca Maryi i zbudziła się ze łzą w oku. Obudziwszy się, nie spieszyła jej zatrzeć, bo oto nowe cuda przez ten łzawy kryształ ujrzała.

Noc była niezwykle jasna i ciepła. A że zwyczajem Wschodu nie osłaniają się domy przed niebem dachami, więc było widać i księżyc, co stał wysoko, jak orzeł i lecące gwiazdy. I naraz zabłyskało się całe niebo i jedna gwiazda poczęła spadać coraz jaśniejsza, jakby miała skrzydła, wprost na Maryę, a upadłszy Jej na pierś, podniosła się z Niej jasną gołębicą i przez chwilę stała nad Jej łzą i biła księżycowemi skrzydłami, śpiewając błogie słowo »Alleluja«.

Rozradowała się Marya, bo poznała gołębicę, co stała nad Nią w dzień poczęcia. I w tejże chwili gwiazdy zaczęły się kłaniać jakiejś srebrnej postaci, co stanęła na węźu dróg mlecznych i wyciągnąwszy rękę, błogosławiła światom, ludziom i morzu. Drzewa w ogrodach okwieciły się różami i woń lilij podniosła się, jak mgławica gwiazd srebrna i pachnąca, i rozkołysało się od niej powietrze.

I było tak cicho w tej modlitwie wszechświatów i wszechtworów, że z głębi nieba słychać było rytmiczne granie wirujących słońc, jak radość żórawi, gdy do gniazda wracają... I stało się, gdy Marya trwała w zasłuchaniu, że gołębica, ciągle powtarzając wesoły głos, leciała kędy był ogród i późniejszy grób Chrystusa, aż znikła zupełnie.

Wstała tedy Marya i miarkując rychły świt, wzięła dzbanek na wodę i szła ku owej studni, przy której spotykała i Maryę Magdalenę i Maryę Jakubową i Martę i inne święte niewiasty. A idąc tam, miała i tę myśl, że może, która ze znajomych wytłómaczy Jej sen o Jezusie i śpiewanie gołębicy. Dziwiło Ją też, że ptaki tak wcześnie się zbudziły i szły gromadami przed Nią i za Nią, mało używając skrzydeł, choć je miały szeroko roztwarte; było zaś to tak, jakby pielgrzymkę odbywały i z wielkiego uszanowania dla Maryi chciały naśladować poważnych ludzi, którym i krok powolny i pewna sztywność przystoi. Niektóre zaś z nich usiadły na gałęziach różanych, co sklepiły wązką drożynę, którą szła Marya i wyciągając drobne główki schylając je ku ziemi, pokłon zasmuconej Maryi oddając. I było ptaszynom wesoło, że Marya zaczęła się przy nich uśmiechać, czując się weselszą i szczęśliwszą.

Niedaleko już było od owej studni, której płaskie kamienie mieniły się daleka, jak szmaragdy, gdy w tem dzbanek niesiony przez Maryę, jakby uderzony nadzwyczajną siłą gałęzi, wysunął się Jej z rąk, i upadłszy na ziemię pękł w połowie. A gdy Marya uklękła, usiłując skorupki poskładać, usłyszała głos:

»Bądź pozdrowiona Maryo, Matko Syna Bożego!«

Marya zaś myśląc, jakoby to był jeden z żydów, który Jej pragnął dokuczyć, odrzekła, nie ponosząc nań oczu: »Skądże to, mężu, mam od ciebie ponosić krzywdy i natrząsania, jeśli cię w niczem nie skrzywdziłam? Ażali nie dość wam, żeście umęczyli syna mojego?«

A obcy, który się jej objawił, odrzekł:

— Nie natrząsam się z Twej boleści, ani Cię krzywdzić myślę, alem Ci przyszedł rzec, byś przestała płakać syna Twojego. Zmartwychwstał on już i jest szczęśliwy, jeno Go jeszcze Twoje łzy smucą. A oto chcesz, by dzban pęknięty dużo wody nosił i troskasz się o to, aby go poskładać dla swego i drugich pożytku, a jakżeż chcesz, by naczynie Twej duszy cierpieniem spękane, mogło zawierać napój spokoju i słodyczy? Oto przyszedłem tutaj, by ci to powiedzieć, dzban Twój zlepić i duszę uszczęśliwić.

A gdy to mówił, Marya podniosła nań oczy w tejże chwili spadły jej łuski z oczu, które były przez chwilę,

jakby zatrzymane i poznała Jezusa, ubranego w złotą jasność ogromną i tak słoneczną, że nie mogłyby jej znieść oczy zwyczajnego człowieka. A Jezus, rosnąc w nowe blaski i zorze, zbliżył się do swej matki i schyliwszy się nad jej liliowem czołem, złożył na niem pocałunek, pełen słodkości rajskiej, jaką znają tylko Anieli. A potem położył rękę na Jej czole i rzekł: »Bądź pozdrowiona i zostań w spokoju«. Głos zaś Jego drgał, jak cudowna melodya wieków, co się przewija między światami.

I po tych słowach jął się rozpływać w blaskach, coraz świetlejszych i gorętszych, aż cały zniknął w złotej mgle, która podniosła się z ziemi, leciała po gałęziach róż, oliwek i okwieconych sadów, zostawiając Maryę w zachwyceniu, rozpłomienioną pogodnem weselem i miłością.

A przez tę szczęśliwą chwilę była cisza i nowa modlitwa leciała z ust Maryi, z kwiatów i od słowików, w której dźwięczało złote słowo, nigdy nie wyśpiewane słowo: »Alleluja!«

I drgało od niego powietrze, jak rozkołysany dzwon nad przestworzem jeziora i była w niem wielka radość i wszelkie szczęcie. Gałęzie strącały kwiaty na Maryę i na słowiki, aż modliwa się skończyła i Marya wstała, wziąwszy cudownie złożony dzban pełen kwiecia różanego i wzniósłszy ku niebu duszę, pełną różanej słodkości.

Był zaś ten dzień z samego szczęścia dla Maryi uwity, bo gdy wchodziła do domu, spotkała trzy Marye i inne święte niewiasty, z liliami i nardem w ręku, siedzące na kamieniach przed domem i wołając: »Wesoły dzień dziś nam nastał!« *L. S.*

Na amerykańskiej ziemi.

Tłumaczył W. H.

Kiedy młody Alfred W.... stanął po raz pierwszy na wolnej ziemi Ameryki, zdawało mu się, że jest conajmniej zdobywcą. Ani na chwilę nie wątpił, że w ziemi, gdzie dolary szybko się toczą, potrafi zdobyć tyle metrów kwadratowych ziemi, aby dla swych rodziców odbudować znowu

dach nad głową, który burze i wichry życiowe roztrąciły. Wierzył, że wszystko zdobędzie, a świat przed nim stoi otworem. Jeśli otrzyma stanowisko, gdzie głową będzie mógł pracować, to tem lepiej. Jeśli zaś praca rąk da mu przyszłość nie zawacha się ani chwili. Może być buchalterem, korespondentem, pisarzem, sprawozdawcą, a jeśli trzeba będzie, chwyci się każdej ręcznej pracy. W takich warunkach potrafi chyba być zdobywcą.

Właśnie rozpoczynała się wielka wystawa w mieście. Natychmiast zgłosił się w komitecie wystawy, a przedstawiwszy się, zaczął wyliczać swe zdolności. Niestety, nie mógł nawet dokończyć swej prezentacyi, gdyż nikt nie miał czasu, aby go wysłuchać. Kiedy opuszczał biuro, chłopak, który mu drzwi otwierał, rzucił mu ironicznie radę, aby któregoś z urzędników złapał za kołnierz i zmusił do wysłuchania całej swej prośby.

Rady tej nie wziął jednak na seryo. Zrezygnował z nadziei otrzymania posady, w tem przekonaniu, że zgłosił się za późno. Przecież wystawa nie mogła na niego czekać! Poprostu zgłosił się w nieodpowiednim czasie i dlatego go nie przyjęła.

Postanowił kupić kilka pism i szukać posady według ogłoszeń. W takiem olbrzymiem milionowem mieście, gdzie wszyscy pracują nawet milionerzy, powinien się przecież jakiś kącik dla niego znaleść.

Na drugi dzień rano kupił gazetę od ulicznego kolportera, wynotował wszystkie adresy ogłoszeń wolnych posad i koło południa ruszył na poszukiwania. Gdziekolwiek jednak przyszedł dowiadywał się, że już ktoś przed nim był. Przekonał się, że Amerykanie nie czekają przy składaniu wizyt, ale załatwiają swe interesa możliwie jak najwcześniej.

Zdobycie tego doświadczenia kosztowało znowu jeden dzień zwłoki, za to nazajutrz rano Alfred był pierwszy, który z rąk zabrudzonego kolportera wyrwał mokry jeszcze poranny numer »Heralda«.

Pokazało się jednak, kiedy stanął pod drzwiami wielkiego magazynu p. Oldsa, że wyprzedziło go znowu całe grono współzawodników. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu przekonał się raz drugi, że cała sień wypełniona jest ludźmi,

którzy czekają na możność zaliczenia się w poczet personalu firmy. Niespodzianka ta wyprowadziła Alfreda z równowagi. W jakiż sposób u dyabła ci się o tem dowiedzieli? Nie zbyt przyjazny wygląd współzawodników powstrzymał cisnące mu się na usta pytanie. Pewne wyjaśnienie przyniosła mu dopiero przypadkowo zasłyszana rozmowa dwóeh gentelmanów amerykańskich:

— »A! i ty także tutaj«?

— Już od piątej. Maszyna w drukarni się popsuła i dla tego pierwszy tysiąc wyszedł dopiero o czwartej.

O czwartej powtórzył w duszy Alfred i znowu zdobywszy jedno doświadczenie więcej, opuścił przedsionek.

Obszedł jeszcze wprawdzie sumiennie wszystkich innych przedsiębiorców, których wynotował z samego dziennika, wędrówka ta jednak była bezowocną. Śmiertelnie znużony, powrócił wieczorem do hotelu.

Przespał się kilka godzin i o trzeciej rano był już pod redakcyą, oczekując na pierwsze wydanie.

Nie zdziwił się teraz zupełnie, kiedy pod redakcyą zastał tłum cały wyczekujących, z którymi musiał formalną walkę stoczyć, aby schwycić bodaj jeden egzemlarz z pierwszego tysiąca. Wierzył, że teraz już nikt go nie ubiegnie. Szybko wypisał adresy i ruszył szukać swego szczęścia.

Szczęście! ileż rozczarowań spotkało go w tym dniu. robił godzinne marsze, aby w zamian otrzymać wzruszenie zamian, albo lekceważące »dziękujemy już nie potrzeba», lub nawet usłyszeć grubijaństwa.

Powoli przyszedł do przekonania, że jego uczciwy mieszczański wygląd i spokojne zachowanie się nie mają w sobie nic »amerykańskiego«. Czyż miał więc czekać aż się praktycznie zamerykanizuje. Inaczej to zginie z głodu. Oszczędności jego topniały przerażająco szybko.

Po dwóch dniach opuścił drogi hotel, przenosząc się do jakiejś lichej oberży, ale i tam nie mógł długo się zatrzymywać. Znalazłszy drugiego towarzysza niedoli wynajął wspólnie z nim ubogą izdebkę zaopatrzoną tylko w łóżko i dwa krzesła bez pieca płacąc za nią prawie cztery razy tyle, ileby to kosztowało w jego ojczyźnie.

Tutaj nareszcie napisał do rodziców. Pierwszy list pełen był jeszcze wesołego humoru, nadziei, a nawet obie-

tnic. Za to drugi list pisany był w chwili, kiedy nędza zaczęła już zaglądać do jego ponurego mieszkania. A mimo to, choć serce pękało mu z żalu, że wszystkim jego nadziejom połamane zostaną skrzydła, pragnął w sercach rodziców utrzymać wiarę w swoje szczęście. Pragnął, by tam w tej małej chatce za oceanem jego staruszkowie cieszyli się, czytając listy syna i przysiągł sobie, że dopiero wtedy zedrze im łuskę z oczu kiedy los każe mu ginąć, tak, jak tysiącom innym. Czuł bowiem, że jeśli dojdzie tam wiadomość, ze zginął, jego staruszkowie zniosą to z chrześcijańskiem poddaniem się. Ale gdyby im przyszło martwić się i trapić się wszystkiemi jego niepowodzeniami, to zgryzoty te zniszczyły by im zdrowie.

Kiedy następnego dnia rano przeliczył pieniądze, jakie posiadał, doszedł do przekonania, że jeśli będzie żył bardzo oszczędnie, wystarczy jeszcze na tydzień. Zaśmiał się bohatersko.

— Dobrze — rzekł do siebie — znaczy to, iż do końca tygodnia muszę mieć zajęcie. Wierzę, że Pan Bóg nie chce jeszcze mej zguby.

Pan Bóg jednak nie pozwala sobie przepisywać terminów i kiedy Alfred drugiego dnia tryumfował, że ma już upragnioną posadę, okazało się, że został znowu oszukany. Kiedy zapłaciwszy 5 dolarów za pośrednictwo, udał się pod wskazanym adresem, aby objąć posadę, przekonał się, że na wskazanem miejscu stoi tylko pusta szopa, a agent był oszustem.

Kiedy powrócił do domu z tej ostatniej najnieszczęśliwszej wyprawy, zasiadł po długim namyśle do napisania trzeciego listu do rodziców. Wierzył, że po raz ostatni do nich pisze, gdyż stracił już wszelką nadzieję, że uda mu się znaleść jakiekolwiek zajęcie: List był pełen dziecięcej miłości i przywiązania. Pisał o dobrych widokach powodzenia, jakie ma w nowej ojczyźnie, wspominał o tem, że wierzy, iż uda mu się rodziców do siebie sprowadzić. Wspomniał jednak mimochodem o tem, że klimat tutejszy nie należy do najlepszych i że zdarza się czasem, że młodzi ludzie niespodzianie giną. Dodał wprawdzie zaraz, że on nie myśli robić tej przyjemności śmierci, żeby się dać zabrać, gdyż czuje w sobie sił za trzech. Gdyby jednak nie

mieli o nim przez dłuższy czas wiadomości, to niech się nie niepokoją.

Gdy skończył, przeczytał list ze smutnym uśmiechem i zapieczętował.

Gdy właśnie zbierał się, ażeby wyjść na miasto, wpadł jego współlokator do izdebki. Był w doskonałym humorze i zaraz od progu zaczął opowiadać.

— To się nazywa wystawienie człowieka na próbę. Właśnie spotkałem dobrego przyjaciela z ojczyzny, który namawia mnie, abym wraz z nim wyjechał do nowej osady, którą niedawno założyli, a która doskonale się rozwija. Równocześnie zaproponowano mi posadę kelnera hotelowego w hotelu »Atlantic«, gdzie najdalej za godzinę mam dać odpowiedź.

I oto staję jak osioł między dwoma wiązkami siana i nie wiem, którą wybrać.

— A tobie co się bardziej uśmiecha? zapytał Alfred z jakimś dziwnym wewnętrznym niepokojem.

— Radbym pojechać z przyjacielem. Pobytu w mieście mam już aż zadosyć. Z drugiej strony nie chciałbym robić zawodu tym z hotelu.

Jedyne wyjście, które zadowolniło by wszystkich, byłoby, gdyby ktoś zechciał.

— Może jabym mógł?...

— Ależ ma się rozumieć! Nie śmiałem tylko proponować...

. . . .

Tak Alfred został kelnerem w hotelu »Altantic».

W olbrzymiem kilkomilionowem mieście nie było tego wieczoru bardziej szczęśliwego człowieka.

Koledzy przezwali go Fredkiem, różnił się zaś od nich pogodą ducha i uczynnością.

Prawdziwi synowie Ameryki za jakich uważali się inni kelnerzy, usługiwali tylko wtedy dobrze gościom, jeśli ci życzenia swoje popierali odpowiednim napiwkiem. Wszystkich tak zwanych skąpych gości spychano na kark młodemu nowicyuszowi. Pomiędzy nimi pierwsze miejsce zajmowała jakaś starsza pani, która mimo, iż od kilku tygodni mieszkała w hotelu nie dała nikomu ze służby ani centima. Kelnerzy próbowali z nią w różny sposób. Usługi-

wali jej najprzód bardzo uprzejmie, później bardzo obojętnie, nic nie pomagało. Pani Ratter, tak bowiem się zwała, była bardzo wymagająca, ciągle potrzebowała usługi, wydawała polecenia, z których wykonania nigdy nie była zadowolona. Wreszcie kelnerzy postanowili zupełnie zapomnieć o jej istnieniu. Kiedy rozlegał się dzwonek z jej pokoju w korytarzu hotelowym, hotel zdawał się być wymarłym. Nigdy w pobliżu nie można było znaleść kelnera, co rzecz prosta nie przyczyniło się do uspokojenia pani Ratter.

Kiedy Fred objął swoje obowiązki, koledzy przedewszystkiem oddali mu do obsługiwania panią Ratter. Fred postanowił wytrwać. Wzywany nieraz 15 razy na godzinę zjawił się zawsze z gotowością i miłym uśmiechem. Mimo to pani Ratter nie wynagrodziła go ani razu za usługi.

Koledzy pokpiwali sobie z niego, dopytując się, jaki majątek uskładał już sobie za swoją bieganinę. W odpowiedzi wzruszył Fred ramionami i uśmiechał się tylko. Wiedział przecież, że wielu z nich nie przechodziło tego, co on miał już poza sobą. Nie wiedzieli może co to znaczy siedzieć w zimowy grudniowy dzień bez palta w nieogrzanym pokoju, w obawie, że lada dzień i ten nędzny przytułek zamknie swe podwoje i że trzeba będzie bez dachu nad głową żyć z dnia na dzień, nie wiedząc, czy przyszłość nie przyniesie śmierci.

Wobec takich wspomnień znoszenie humorów pani Ratter wydało mu się bardzo łagodne, a hotel szczęśliwą przystanią, do której zawinął.

Z całym spokojem pisał też do rodziców listy pełne różowych nadziei. Donosił im, że nareszcie znalazł spokojny byt, a w kasie jego coraz więcej zaczyna brzęczeć dolarów. Gotów się nawet założyć, że w niedalekiej przyszłości będzie mógł przystąpić do kupienia kawałka ziemi pod przyszły dom własny.

W chwili, kiedy właśnie pisał ten ustęp listu zabrzmiał dzwonek wzywający go do pani Ratter, która oświadczyła mu z zimnym spokojem, że właśnie ukończyła wszystkie swoje interesa w mieście i że zamierza wyjechać. Do pakowania potrzebuje jego pomocy.

Na drugi dzień istotnie wyjechała. Cała służba hotelowa zleciała się w przedsionku hotelu, żeby na własne oczy

zobaczyć odjazd tej znienawidzonej pani i osobiście stwierdzić, że istotnie hotel opuściła.

Kiedy powóz uwożący toboły i kufry pani Ratter, które Fred osobiście na powóz naładował, zniknął z oczu patrzących, rzucili się wszyscy do Freda, pytając jeden przez drugiego:

— No i jak? Cóż ci dała? Jakżeż wysoko oceniła twoje usługi?

Kiedy Fred milczał, rzucił jeden z kelnerów:

— Widocznie bezgranicznie, bo nie znalazł nawet cyfry odpowiedniej na wyrażenie swej oceny. W ironii swej miał racyę, gdyż pani Ratter wyjechała nie obdarzywszy ani centimem swego wiernego sługi.

Minęło kilka dni. Ku wielkiemu zdumieniu otrzymał pewnego południa Fred przekaz pocztowy pieniężny na 100 dolarów; nadawczynią była pani Ratter. Wiadomość ta odebrała kolegom Freda ochotę do żartów i kpin z niego, a Fred uradowany pisał wieczór do rodziców:

— Oto kupiłem już miejsce pod nasz przyszły dom. Trzeba obecnie tylko wybrać materyał, z którego dom się zbuduje. Kamień czy drzewo? Sądzę, że możnaby kamieniem podmurować, a resztę zbudować z drzewa.

Pisząc te słowa, czuł, że dostarcza rodzicom tematu do rozmów na szereg miesięcy, daje im pole do narad z sąsiadami i że w zamian otrzyma kilka listów pełnych rad, uwag i wskazówek. Staruszkowie zapewne będą go ostrzegali, aby też broń Boże! nie spieszył się zbytnio i nie narażał na straty. Oni wolą poczekać jeszcze trochę. Przecież z wynajętej chałupy ich jeszcze nie wyrzucają.

Wszystko to przychodziło Alfredowi na myśl, gdy wysyłał swój list. Skarb jego powoli, ale stale powiększał się. A choć prawie cegiełkę po cegiełce musiał budować dom w swej fantazyi, miał jednak nadzieję coraz bardziej prawdopodobną, że kiedyś jego jego fantazye przemienią się w rzeczywistość i dom naprawdę stanie.

Minął dłuższy przeciąg czasu. Niejeden list powędrował za ocean i niejedna odpowiedź wróciła z powrotem. Pewnego dnia właściciel hotelu otrzymał list, który w niemałe wprawił go zdumienie. Dr. White znany adwokat, zapytywał go, czy pracuje u niego kelner imieniem »Fred«.

Jedna z jego klientek, pani Ratter, zmarła przed kilku dniami i w testamencie zapisała owemu kelnerowi, którego prawy charakter miała sposobność ocenić 3.000 dolarów.

Właściciel hotelu wezwał do siebie Alfreda i zawiadomił go o treści listu, dodając od siebie serdeczne życzenia. Alfred tym razem nie podzielił się z radosną wiadomością z towarzyszami pracy, ale za to wieczorem zasiadł skwapliwie do pisania listu do domu.

»Kochani rodzice — pisał — domek zaczyna już wyrastać z ziemi. Przypuszczam, że będzie Wam się podobał. Podobny on całkiem do naszego rodzinnego, chciałbym bowiem, abyście, gdy tu przyjedziecie czuli się zupełnie swobodni i znaleźli swoje kąty. Przygotujcie się powoli do drogi«.

Po wysłaniu tego listu zabrał się ze zdwojoną energią do pracy. Ale choć całą swą umiejętność wkładał w wykonywanie swych obowiązków, właściciel hotelu pewnego dnia wieczorem, wydawszy dyspozycye służbie hotelowej w końcu zwrócił się do Alfreda: »Twoja służba dzisiaj się kończy, proszę ze mną do kasy«. Lakoniczne to odezwanie się właściciela hotelu zrobiło silne wrażenie. Fred zbladł, a jego towarzysze, którzy nie mogli mu darować owych 100 dolarów zaczęli drwiąco się uśmiechać. Gospodarz zauważył wrażenie, jakie jego wezwanie na obecnych sprawiło, dodał więc z uśmiechem:

— »Owe 3 000 dolarów, jakie pan otrzymałeś, stanowiły tylko procent od legatu, który wynosi 50 tysięcy dolarów. Dr. White w myśl testamentu miał, zanim panu wszystkie pieniądze powierzy, przekonać się, jaki użytek robi pan z otrzymanych pieniędzy. Ponieważ użytek ten jest bardzo szlachetnym, przez moje ręce wypłacam panu resztę«.

Towarzysze Alfreda przestali się śmiać. On sam nie mógł słowa powiedzieć ze wzruszenia, uścisnął tylko w milczeniu rękę szefa. Kiedy pierwsze wrażenie minęło... zasiadł do pisania listu do rodziców.

TO I OWO.

Największy dom.

W Nowym Jorku buduje się obecnie największy z »drapaczy chmur«, należący do Towarzystwa »Broadway Park place Company«. Gmach ten, o trzech frontach, stanie po stronie zachodniej ulicy Broadway, naprzeciwko poczty głównej, oraz blizko ratusza. Długość frontu od ulicy Broadway wynosi 46 metrów, od Park-place 60 metrów, od Barklay street 58 metrów. Olbrzymia wieża gmachu sięga wysokości 225 metrów od poziomu chodnika. W wieży mieści się 55 pięter.

Sam budynek liczy 29 pięter. Parter przeznaczony jest na sklepy oraz na galeryę oszkloną z wejściami od wszystkich trzech ulic. Mieścić się tam będą: wielka restauracya, różne miejsca rozrywek, zakład fryzyerski wraz z zakładem kąpielowym i t. d. Nadto mieścić się tam będą biura bankowe, urządzone z wielkiemi wygodami. Podziemia gmachu zajmą urządzenia do ogrzewania centralnego, ochładzania, oświetlenia elektrycznego oraz wszelkie urządzenia mechaniczne.

Cały prawie gmach zajmą urządzenia biurowe. Na 54 piętrze urządzona będzie galerya do oglądania pięknego widoku. W budynku przewidziane są 34 windy, z których 24 zgrupowane blisko głównego wejścia od Broadway. Fundamenty spoczywają na skale na głębokości od 33 do 39 metrów jako studnie zapuszczane o średnicy 5 metrów. Koszt fundamentów stanowi bardzo znaczną część kosztu ogólnego.

Konstrukcya całego budynku jest ogniotwała. Gmach posiadać będzie 4 zapełnie oddzielne klatki schodowe, idące od powierzchni ulicy aż na dach budynku. Klatki schodowe oddzielone są od korytarzy oraz biur ścianami ogniotrwałemi, oraz drzwiami ze szła i żelaza, dano więc gwarancyę, iż w razie pożaru w którejkolwiek części budynku — pozostaną wolne od dymu.

Wojna z teściowemi.

Teściowa, której samo imię przejmuje dreszczem każdego żonatego mężczyznę, znalazła nieprzejednanego wroga

w osobie amerykańskiego sędziego p. Guire. Sędzia ten orzekł, że teściowa nie ma prawa dłużej przebywać w domu swego zięcia i córki, lub też syna i synowej na dziesięć dni jednorazowo. Po tym przeciągu czasu, jeżeli zięć czy synowa nie życzą sobie, aby teściowa dłużej przebywała w ich domu, mają prawo usunąć ją choćby przemocą.

Wyrok ten sędzia wydał w sprawie pani Mc-Coyle, która zaskarżyła swoją teściową May-Coyle z Bostonu, że jej siedzi na karku i buntuje jej męża, a w dodatku ze synową obchodzi się brutalnie i dokucza jej na każdym kroku. Sędzia więc oświadczył, że pani teściowa ma zabrać swoje manatki i czemrędzej wynieść się do Bostonu najpospieszniejszym pociągiem, a nie zakłócać spokoju swym dzieciom, bo sama też kiedyś była synową. to wie, co teściowa znaczy.

Oryginalna asekuracya.

Wobec przedsiębiorczości Amerykanów ustępuje wszelka niemożliwość. Ostatnio wymyślono tam nawet sposób ubezpieczenia się przeciw nieszczęśliwemu małżeństwu. Asekuracyę tę podjęło Towarzystwo z kapitałem zakładowym miliona dolarów, a celem jej jest przyjście z pomocą tym, którzy, czując się nieszczęśliwymi w małżeństwie, nie mogą otrzymać rozwodu z braku odpowiednich funduszów.

Towarzystwo swemu klientowi przychodzi z pomocą w uzyskaniu rozwodu; daje mu pieniądze na wyjazd do kraju, w którym rozwód jest możliwy, załatwia za niego wszelkie formalności, a na wypadek przysądzenia odszkodowania drugiej stronie, wypłaca je w imieniu klienta.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.